Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Rok II | Lwów, 1 marca 1935 | Nr. 7 (27)

AKCJA NARODOWA

Czasopismo polityczne, społeczne i kulturalne

Wychodzi 1-go, 10-go i 20-go dnia miesiąca

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Lwów, Kopernika 11. Tel. 203-99. REDAKTOR NACZ. przyjmuje codziennie od 18—19. ADMINISTRACJA CZYNNA w poniedz., środy i soboty od 17—18.

Cena egzempl. 20 gr. — Konto PKO 504.250

Prenumerata: miesięczna 0·50 zł. Kwartalna 1·50 zł. — półroczna 3 zł. roczna 6 zł.

STANISŁAW STARZEWSKI

Współczesna inteligencja

W rozważaniach nad organizacją państwa narodowego nie sposób pominąć zagadnienia inteligencji. Jaka jest jej rola w dzisiejszych przemianach? Jaka jest jej przyszłość? Oto pytania, dokoła których toczy się dyskusja. W powodzi uwag na ten temat wypowiadanych, zarysowują się dwa poglądy, które w krótkości postaram się streścić.

Jedni pisarze i publicyści widzą w współczesnej inteligencji nie samodzielny i zdolny do czynu element społeczny, ale jedynie produkt uboczny procesów gospodarczych. Słabość jej widzą naogół w fachowości i specjalizacji i przeciwstawiają jej jako czynnik bardziej wartościowy dawną inteligencję, ludzi ogólnie wykształconych, o szerokich horyzontach, ludzi mądrych. Tej fachowej wyspecjalizowanej inteligencji wróżą jak najczarniejszą przyszłość i poprostu uważają ją za warstwę „ludzi niepotrzebnych". Walący się, ich zdaniem, w gruzy system wielkokapitalistyczny, siłą rzeczy pociągnie za sobą ruinę i tej nowoczesnej klasy.

W tem miejscu urywa się zazwyczaj ich rozumowanie, nie uzupełniają go bowiem żadnemi przepowiedniami co do przyszłości, nie budują pozytywnego programu. Chaos, ruina, co potem, nie wiadomo! W każdym razie ten przyszły ustrój, jeżeli się wyłoni z reklamowanego przez nich zamętu, to przypuszczalnie zredukuje do minimum rolę nowoczesnej inteligencji.

Publicyści ci, robią zarzut współczesnej cywilizacji, że streszcza się głównie w działalności gospodarczej, materjalistycznej a równocześnie sami przez swój stosunek do inteligencji, jako ubocznego wytworu sił produkcyjnych ludzkości, stają niedwuznacznie na stanowisku materjalistycznego światopoglądu, podkreślającego zawsze i wszędzie element zmieniającej się produkcji, jako najważniejszy motor ludzkiej działalności.

Taka analiza stosunków społecznych nie zawsze jest oparta na objektywiźmie. Pod marką objektywizmu kryje się tu często pogląd wybitnie subjektywny, wynikający z faktu, że niektórzy publicyści tej grupy są równocześnie faktycznymi kierownikami wojujących obozów politycznych. Malując czarnemi barwami przyszłość inteligencji, chrzcząc w czambuł wszystkich inteligentów mianem „niepotrzebnych ludzi", a widząc, że ludzie ci mają w swych rękach politykę, pragną ich w ten sposób podniecić do czynu, któryby spowodował zmiany polityczne, oczywiście zgodne z ich planami. W rezultacie więc ci „niepotrzebni ludzie" są bardzo dla nich potrzebni.

Do tej samej kategorji publicystów zaliczyć można i tych, którzy dzisiejszą inteligencję stawiają na równi z proletarjatem robotniczym, określając ją mianem „sproletarjatyzowanej inteligencji". Sam fakt obniżenia stopy życiowej współczesnych inteligentów jest już dla nich dostatecznym powodem do podciągnięcia ich pod kategorję proletarjuszy. I tu chodzi o pewien cel doraźny: złączenie inteligencji z proletarjatem do walki z kapitalizmem.

Tę próbę całkowania inteligencji z proletarjatem na płaszczyźnie proletarjackiej można obserwować nietylko u zwolenników zaprowadzenia rządów proletarjackich, ale i u przeciwników klasowego poglądu społecznego.

W rezultacie jedni i drudzy nie mają wiary w zdolności twórcze współczesnej inteligencji, nie widzą w niej czegoś nowego, samodzielnego, zdolnego w imię swoich własnych interesów, własnej ideologji stanąć do walki.

Druga grupa publicystów ma znacznie lepsze o współczesnej inteligencji wyobrażenie, przyczem — rzecz charakterystyczna — są oni zdecydowanymi wyznawcami materjalistycznego światopoglądu. Dla nich nowoczesna inteligencja jest nową niespodziewaną, a jednak bardzo poważną siłą społeczną. Przyznają oni, że jest ona wytworem wielkokapitalistycznego systemu gospodarczego, ale dziś stała się czynnikiem, który z wielkim rozmachem chce nietylko opanować kapitalizm, ale i chwycić rządy nad proletarjatem. Uważają ją za samodzielną klasę społeczną, coś w rodzaju dawnego drobnomieszczaństwa, tylko bardziej energicznego, bardziej ruchliwego i bardziej bojowego. W powstawaniu tej nowej klasy widzą przyczynę obecnych klęsk socjalizmu, niemożności realizacji w najbardziej uprzemysłowionych krajach marksizmu.

Ten ich pogląd na rolę nowoczesnej inteligencji zdaje się potwierdzać fakt, że w Rosji, gdzie wskutek słabo rozwiniętej gospodarki wielkokapitalistycznej, ta nowa inteligencja nie miała czasu powstać, a gdzie rej wodziła zachwalana przez niektórych inteligencja o ogólnem wykształceniu, najprędziej doszedł do rządów proletarjat. Natomiast w krajach wysoko uprzemysłowionych, gdzie Marks przewidywał najszybszą realizację socjalizmu, dzięki pojawieniu się czynnika nowego, niespodziewanego, proletarjat nietylko nie doszedł do rządów, a przeciwnie socjalizm znalazł się w odwrocie.

Widząc w nowoczesnej inteligencji groźnego przeciwnika w realizacji socjalistycznego ustroju, publicyści tej grupy nie wróżą jednak temu nowemu „drobnomieszczaństwu" trwałości. Są zdania, że tak jak dawne mieszczaństwo, tak i to nowe zejdzie z czasem z widowni, gdyż nie zdobędzie się ono na nowy ustrój społeczny, co najwyżej stworzy coś w rodzaju kapitalizmu państwowego, który służyć będzie przez pewien czas tej nowej klasie, ale i on ostatecznie runie pod naporem proletarjatu.

Kto ma rację?

Zamiast wprost odpowiadać na to pytanie odpowiemy najpierw na inne: czy inteligencja współczesna jest wytworem tylko wielkokapitalistycznego ustroju gospodarczego, czy też jakieś głębsze przyczyny złożyły się na jej powstanie? Może i wielkokapitalistyczna gospodarka ma także tę samą głębszą rację swego istnienia?

Przyczyny powstania nowoczesnej inteligencji szukać należy w fakcie, że człowiek, jako źródło energji fizycznej traci swoje znaczenie, a zaczyna wchodzić w prawa kierownika. Ta sama przyczyna, zastąpienie pracy ludzkiej przez energję maszyny, leży i u podstaw gospodarki wielkokapitalistycznej i wielkoprzemysłowej. Głównem jednak zjawiskiem w tym procesie nie jest powstanie ustroju wielkokapitalistycznego, a powstanie tego, co w tym artykule określamy mianem „nowoczesnej inteligencji". W tym procesie, który rozpoczął się stosunkowo niedawno, ustrój wielkokapitalistyczny jest produktem ubocznym, może się więc zmieniać, może się przekształcać, zależnie od natężenia i potrzeb głównego procesu, jakim jest przekształcanie się człowieka ze źródła energji fizycznej w kierownika.

Ten proces odbywałby się dzisiaj i w innym, niekapitalistycznym ustroju i napewno odbywa się w Rosji Sowieckiej. Niech nas tu nie zwodzą rozmaite trudności i kryzysowe bolączki. Ten proces przekształcania się człowieka jest i z tego powodu konieczny, że człowiek, mimo wszystkie pozory, w całej swej działalności kieruje się powszechnem prawem przyrody minimalnego wysiłku, prawem niewątpliwie leżącem u podstaw jego wynalazczości. Pod naciskiem tych konieczności zaczynamy powoli wychodzić z epoki, w której bogactwa niewielu, zbierały się za cenę biedy większości.

Tak więc istnienie współczesnej inteligencji nie jest czemś przypadkowem i czemś przemijającem. Jako element kierowniczy będzie ona narastać na sile, będzie się stawać tą płaszczyzną, na której realizować się będzie ideał społeczeństwa aklasowego.

Z istoty tego procesu należy sobie dokładnie zdać sprawę. Nie można go zaciemniać teorjami o „niepotrzebnych ludziach", nie można osłabiać woli działania twórczych w tej chwili elementów społecznych. Przeciwnie, trzeba uświadamiać znaczenie i wartość tego czynnika społecznego, który ma wytężyć wszystkie siły do stworzenia nie czegoś, co ma ratować kapitalizm lub pomagać w jego zwalczaniu, ale tworzyć to, w zwycięstwo czego nie wątpimy: państwo narodowe, narodowy ustrój gospodarczy, budujący bogactwo na szczęściu wszystkich.

MIECZYSŁAW PISZCZKOWSKI

Kropka nad i

Na marginesie książki Jerzego Drobnika

Pierwsze pokolenie Polski niepodległej przeżywa dziś osobliwą chwilę. Przed piętnastu laty uzyskawszy patenty tzw. dojrzałości, rozpoczynało ono swą młodość odrazu we własnem, wolnem Państwie. Dzisiaj — młodość jest za nami, wchodzimy w „wiek męski". Czy ma to być, według słów Mickiewicza: „wiek klęski"?

Nasze pokolenie nie zna pojęcia klęski, jako podstawowej zasady życia narodu i jednostki. Dojrzewaliśmy umysłowo i działaliśmy w atmosferze zwycięstwa. Za zwycięstwem zewnętrznem poszło zwycięstwo wewnętrzne, odniesione we własnem społeczeństwie. Będąc zrazu nieliczną garstką świadomych nacjonalistów, zdobyliśmy dla naszej idei najszersze koła swych rówieśników. Nie chwytaliśmy kolegów w pęta dyscypliny organizacyjnej, nie stroiliśmy ich w mundury, nie robiliśmy z nich bezmyślnych bojówek. Zyskaliśmy ich zaufanie słusznością wysuwanych haseł i zachętą do samodzielnych wysiłków. Później dopiero, znacznie później przyszło załamanie młodzieży nacjonalistycznej, która pozwoliła uczynić z siebie parawan dla starczej bezsiły Narodowej Demokracji.

Po zwycięstwie na terenie młodej generacji, jesteśmy świadkami a poniekąd i współtwórcami zwycięstwa nacjonalizmu w całem społeczeństwie polskiem. Szereg zasad i pojęć, o które walczyliśmy konsekwentnie, stał się własnością ogółu. Jest to dla nas fakt najradośniejszy, fakt budzący otuchę i wiarę w przyszłość.

Radość z upowszechniania się ideałów nacjonalistycznych jest jedną z głównych różnic, jakie nas dzielą od starych formacyj demokratyczno-narodowych. Starzy tak się przyzwyczaili do klęsk i narzekań, że dziś martwią się zwycięstwem nacjonalizmu. Uważają, że skradziono im monopol na patrjotyzm. Woleliby ciągle widzieć dokoła siebie spisek na cywilizację polską, chcieliby w „sanacji" doszukać się zdrady żydowsko-masońskiej, a tymczasem Polska nietylko nie ginie, ale się wzmacnia i rośnie.

* * *

Tradycja zwycięstwa jest cechą charakterystyczną — a zarazem więzią koleżeńską ludzi naszego pokolenia. Na tej tradycji opiera się dzisiejszy rozmach polityczny i pisarski dwu naszych głównych grup: poznańskiej, skupionej dokoła „Awangardy" i lwowskiej, skupionej przy „Akcji Narodowej". W kilkunastu książkach i broszurach określiliśmy dążenia, jakie nas ożywiają i poglądy na kwestje aktualne, które nas szczególnie interesują.

W działalności pisarskiej szczególnie wydatna jest rola Poznańczyków, wśród których znamy zresztą jednego kolegę ze Lwowa, mianowicie dr. Zygmunta Wojciechowskiego, profesora uniwersytetu poznańskiego. Publicyści tacy, jak Jerzy Drobnik, Ryszard Piestrzyński, Jan Zdzitowiecki, Zygmunt Wojciechowski, a z młodszych Janusz Makowski są chlubą dzielnicy zachodniej. Ich książki i artykuły odznaczają się intuicją polityczną, trzeźwym rozsądkiem i rzetelnością myślenia o sprawach społecznych. Każdy nieuprzedzony człowiek musi tych autorów czytać z głęboką satysfakcją, jaką zawsze daje dobra lektura. Że czytelnicy poznali się na walorach pisarzy poznańskich tego dowodem jest np. popularność cennej książki Piestrzyńskiego, pt. „Naród w państwie".

Publikacje współpracowników „Awangardy" przyczyniają się walnie do podniesienia poziomu polskiej literatury politycznej, a wogóle we współczesnej publicystyce nacjonalistycznej zajmują miejsce poczesne.

Jest rzeczą ciekawą, że publicystyka polska, która w pierwszych latach niepodległości grzęzła w pospolitej demagogji i kalumnjatorstwie, w ostatnich latach przeszła wielką ewolucję i dziś jest — podobnie jak cała nasza proza — na drodze do wspaniałego rozkwitu. Uważam to za objaw wewnętrznego krzepnięcia i tężenia wszystkich sił narodowych w naszem państwie.

W grupie „Awangardy" najśmielszą i najbardziej rzutką indywidualnością jest Jerzy Drobnik, autor książki „W ogniu przemian", która właśnie ukazała się w Poznaniu, jako III tom bibljoteki „Awangardy".

Książka Drobnika jest cyklem luzem związanych szkiców, gdyż autor — jak wyjaśnia Przedmowa — nie miał zamiaru budowania całości według zgóry powziętego planu. Brak kompozycji wynagradza w książce żywość i bezpośredniość obserwacji, trafność analizy poszczególnych zjawisk politycznych oraz szczerość i odwaga sformułowania sądów, na których wypowiedzenie mógł się zdobyć tylko doświadczony publicysta i świadomy swych celów polityk. W atmosferze zakłamania, panującej doniedawna w prasie polskiej, zarówno rządowej jak i opozycyjnej, książki takie, jak „W ogniu przemian", są powiewem świeżego powietrza. Drobnik nie dbał o narażenie się lub przypodobanie komukolwiek. Napisał sporo prawd przykrych zarówno dla „endecji", jak i dla „sanacji", ale uwydatnił też lojalnie wszystkie plusy historyczne, należne obydwu zwaśnionym stronom. Ocena sytuacji obecnej wypadła na niekorzyść Narodowej Demokracji, bo nie mogła wypaść inaczej. Każdy rozsądny polityk musi stwierdzić impas obozu, który mieniąc się nacjonalistycznym — zwalcza w Polsce nowy porządek rzeczy, oparty właśnie na pozytywnym nacjonaliźmie państwowym. Dziś już nie może być wątpliwości, że zamach Piłsudskiego w maju 1926 nie był warcholskim odruchem, lecz przewrotem skutecznym i głębokim. Kto tego nie rozumie lub nie uznaje, ten nie jest politykiem albo nie jest nacjonalistą.

Sprawy te roztrząsa Drobnik bardzo spokojnie i objektywnie, ale też bardzo śmiało. odsłania on marazm ideowy Stronnictwa Narodowego i zauważa słusznie, że tak jak dla religji byłoby zawsze lepiej, gdyby nie było bigotów, tak dla idei narodowej byłoby lepiej, gdyby nie istniał typ bigotów narodowych (str. 121). Bigoterja jest śmieszna i głupia, to też kompromituje ona ideę narodową. Nacjonalizm polski ma energję i siłę atrakcyjną wtedy tylko, gdy nie popada w przesadę i zazdrosną podejrzliwość.

W ośmiu rozdziałach swej książki poruszył Drobnik główne problemy polityki bieżącej. Przedstawił niemożliwość rewolucji narodowej przeciw obecnemu rządowi, który sam z rewolucji wyszedł — i sam jest narodowy. Wskazał na konieczność przeprowadzenia „czystki" w popularnych pojęciach i wyobrażeniach politycznych. Rozważając problemat: „Kto ma prowadzić, przywódcy polityczni czy masy?", oświadczył się za kierownictwem wybitnych jednostek, a nie mas. Wyraziście zobrazował autor narastanie konfliktów między młodszą generacją narodowców a starymi leaderami. Błędy Narodowej Demokracji scharakteryzował doskonale w szkicu, zatytułowanym „W lesie pomyłek". Również następny szkic „Przegrana idei czy partji" dotyczy tej kwestji, przyczem autor udowadnia, że klęska Nar. Demokracji w Polsce niepodległej nie pociągnęła za sobą klęski nacjonalizmu. W szkicu pt.: „Rozszczepienie nacjonalizmu polskiego" przedstawiono plastycznie dramat narodu, którego najlepsze siły, już od XVIII w. począwszy, rozszczepiły się jako nacjonalizm racjonalistyczny i nacjonalizm emocjonalny. Pierwszy zbyt jednostronnie ograniczał się do działalności intelektualnej, do piśmiennictwa lub układów dyplomatycznych, drugi — zbyt wybuchowy nie liczył się, a czasem wręcz lekceważył czynniki i względy rozumowe:

> Najbardziej niebezpieczna — pisze autor — była jednak wywiązująca się między obu odłamami walka, która z jednej strony prowadziła do nierozumienia wartości sił żywiołowych w życiu narodu, do potępienia najwyższej ofiary krwi i do przeciwstawienia się im, z drugiej zaś strony do odrzucenia wielkiego dorobku świadomej myśli politycznej narodu. Z chwilą zaś, gdy ta myśl przybrała formę światowej polityki nacjonalistycznej, wytworzył się wskutek walki tych dwu prądów życia narodowego niesłychany paradoks, iż kierunek żywiołowej reakcji narodowej, przelewając krew za Polskę, jął używać słowo „narodowy" w cudzysłowach, odrywając się od nacjonalizmu, zupełnie jak gdyby „nacjonalizm" był grzechem i hańbą i koncentrował w sobie pierwiastki tchórzostwa i ugody; kierunek zaś nacjonalistycznego nacjonalizmu w wielu wypadkach krzywdził wysiłki zbrojne nie doceniając ani ich motywów, ani też znaczenia, które leżało na innem polu niż rozważania czysto rozumowe, niemniej jednak było potężne i konieczne" (str. 109—110).

Drobnik najsłuszniej podkreśla i propaguje konieczność syntezy obu typów nacjonalizmu polskiego. Jeśli synteza ta nie dokonała się na terenie starszych pokoleń, jest ona obowiązkiem młodej generacji.

Ostatni rozdział książki, pt.: „O nową organizację polityczną narodu" zawiera konsekwencje, płynące z nakazu syntezy nacjonalizmu racjonalistycznego i dynamicznego.

Wśród obfitej już publicystyki naszego pokolenia książka Drobnika jest jakby postawieniem kropki nad i. Dopowiada ona wiele rzeczy, dotychczas sugerowanych dyskretnie lub tylko domyślnych.

Śmiała treść książki ma sprzymierzeńca w żywym, płynnym stylu, w obrazowych zwrotach i prostym, naturalnym toku zdania. Szata typograficzna zaleca się starannością i dobrym smakiem.

Książka Drobnika musi przemówić zwłaszcza do młodzieży uniwersyteckiej, która lubi śmiałość i otwartość. „W ogniu przemian" jest doskonałą odpowiedzią na niejedno pytanie, dręczące młode pokolenia Polski.

Cykl artykułów Drobnika wzbudził już szerokie echo w prasie codziennej. Nic dziwnego. Całe społeczeństwo jest dziś „w ogniu przemian". Książka pod tym tytułem powinna znaleźć się w rękach każdego myślącego obywatela.

MACIEJ FREUDMAN

Sprawa młodych

W prasie lwowskiej toczy się od pewnego czasu żywa i ciekawa dyskusja pomiędzy starymi i młodymi literatami. Będąc organem interesującym się przejawami życia kulturalnego, oddajemy dziś głos na naszych łamach w sprawie powyższej dyskusji reprezentantowi Młodego Lwowa p. Maciejowi F r e u d m a n o w i. — *Red.*

Lwów to dziwne miasto. Wszystko, co się w niem od kilkudziesięciu lat na polu kultury i sztuki dzieje, lęgnie się w formach charakterystycznych i przechodzi etapy odmienne od tych, które tego rodzaju zjawiska przechodzą w innych środowiskach polskich. Lwów to tragiczne miasto.

Wiem, że w tem miejscu ściągnę na siebie i na współpracujących ze mną w grupie tzw. Młodego Lwowa literatów jeszcze jedno odium. Wiem, że jeszcze raz ktoś tam, czy jacyś tam rozedrą rozpaczliwie szaty i gromko oburzonym głosem zwymyślają mnie, czy nas, za „szkalowanie własnego gniazda“. Cóż jednak robić, kiedy niema żadnej siły, ani żadnego sposobu, którýby mógł wpłynąć na ukonstytuowanie się kompleksu lokalnego patrjotyzmu lwowskiego właśnie u literata.

Nie mam zamiaru ani sił być w tem miejscu historykiem przeszłości literackiej ostatnich lat we Lwowie. Wspomnę tylko najogólniej: nasze środowisko artystyczno-pisarskie nie potrafiło na przełomie zeszłego i obecnego wieku stworzyć jakichś nowych wartości, nie potrafiło nawet szczęśliwie przetrawić wartości stworzonych przez innych. P r z e z L w ó w n i e p r z e s z ł a n i g d y l i n j a f r o n t u, na którym ścierały się nowe prądy i ideje. Żyły w nim urywkowo echa fluktuacyj dokonywujących się gdzieindziej, próbowały się od czasu do czasu rozplenić bakcyle wojującej myśli naukowej i artystycznej, ale bezskutecznie. Atmosfera lwowska sprowadzała wszystko do podwórkowych, mniej lub więcej delikatnych pogawędek, przygniatała swą sennością i swojem kontemplowaniem rzekomych wielkości w ciasnych granicach rogatek. Pozwalała dogorywać u siebie niedobitkom innych środowisk polskich, zrzadka tolerowała zdobywanie przez młodych giermków literackich ostróg rycerskich na swoim terenie. Służbę rycerską odbywano już gdzieindziej.

Twierdzę: niema miasta w Polsce, niema okolicy, niema środowiska, w którem grafomaństwo byłoby tak silnie i historycznie ugruntowane, jak we Lwowie. To już takie „galicyjskie“ nieszczęście, że wogóle mieliśmy za dużo patentowanej inteligencji, lokalne zaś nieszczęście lwowskie sprawiło, że lwia część tej „inteligencji“ uważała się za literatów, a swoją pracę pisarską za sztukę piękną.

Niedawno wpadła mi w ręce mała książeczka C h o ł o n i e w s k i e g o, zatytułowana „N i e ś m i e r t e l n i“, wydana około roku 1898. Mieści się w niej c z t e r d z i e ś c i życiorysów autorów lwowskich, pracujących na niwie literackiej miasta w tym czasie. Proszę sobie wyobrazić: w jednym okresie, w jednem pokoleniu, roku niemal, miasto takie, jak Lwów ma czterdziestu literatów wysoko-oficjalnych, bo nazywanych już nieśmiertelnymi i mających za sobą olbrzymi dorobek drukowanych pozycyj. Czterdziestu znalazło się w tej książeczce, czterdziestu tych najważniejszych, a iluż zostało jeszcze tych mniej znanych i oficjalnych aspirantów i adeptów, półnieśmiertelnych i praktykantów nieśmiertelności?

Możnaby ostatecznie pomyśleć: może — jakoże przed wojną wszystko było w lepszym gatunku — naprawdę w jednem mieście znalazło się tyle naraz talentów? Na tak pytającą myśl nie można odpowiadać oprysklliwie. Owszem — teoretycznie jest taka możliwość dopuszczalna. Ale zadałem sobie trudu skonfrontowania tych czterdziestu „nieśmiertelnych“ nazwisk z pamięcią o nich wśród żywych i ze znakami ich na kartach historji literatury. Przeprowadziłem coś w rodzaju żywej i słownej ankiety wśród swoich znajomych i kolegów. Okazało się, że na czterdzieści nazwisk, zaledwie siedem przechowało się wogóle w pamięci ludzkiej. A z tych siedmiu t y l k o j e d n o n a z w i s k o z n a l a z ł o s i ę n a s z c z y t a c h literatury i w wspomnieniach oraz tradycji, związane z świadomością wartości literackich reprezentowanych przez jego właściciela. Tem jedynem nazwiskiem jest Jan K a s p r o w i c z, którego w wspomnianej broszurze potraktowano zresztą n a j o b o j ę t n i e j w świecie.

Reszta rozpłynęła się. Ci wszyscy pisujący hrabiowie, radcowie namiestnictwa i suplenci gimnazjalni, ci popularni reporterzy gazet, dzięki bezgranicznej pobłażliwości wydawców i jeszcze bezgraniczniejszemu brakowi gustu czytelnika — pisujący powieści, wiersze i nowele, nie przeżyli swoją twórczością ani na rok swojej śmierci. Nikt o nich za życia poza Lwowem nie wiedział, po śmierci i Lwów nawet o nich nie wie.

Nie dla zabicia czasu zabawiam czytelników tą makabrycznie smutną historyjką. Chciałem przedstawić dowód na historyczność grafomaństwa we Lwowie. A teraz o permanencji tej grafomańskiej atmosfery.

O czterdziestu „nieśmiertelnych“ z roku 1898 słuch zaginął. Ale na ich miejsce wyrosło zaraz nowych czterdziestu. Lwów to miasto naogół wesołe i lubi zmiany. Zeszło z afisza ulic i estrady kawiarń, czy szynków kilkadziesiąt popularnych twarzy z etykietką literackości i zaraz miasto znalazło sobie podostatkiem nowych. Ci nowi grafomani nie mieli już takiego szczęścia, jak ich poprzednicy. Za ich czasów już nie było tak łatwo wydawać drukiem, a do tego jeszcze czytelnik stał się nieco bardziej krytycznym. Nowi grafomani nie byli w stanie już i materjalnie eksploatować literatury męczonej przez nich w ten czy inny sposób. Zresztą trudno ich podejrzewać, że chodziło im o materjalne zyski w literaturze. Nie mając ich zrezygnowali z zarabiania piórem i postarali się o posady w dyrekcjach skarbowych, sądach, kolei, szkołach i przemyśle. Jeśli byli to grafomani rodzaju żeńskiego, to wychodzili za mąż, zapewniając sobie tem byt materjalny. Ale należeli uporczywie i złośliwie do stowarzyszeń i grup literackich. Przed nazwiskiem zaś dopisują: literat. Gdzie mogą pchają się do reprezentowania literatury Lwowa. Gdzie mogą drukują swoje utwory zapółdarmo, czy też zupełnie darmo. W olbrzymiej większości tworzą Z w i ą z e k Z a w o d o w y L i t e r a t ó w we Lwowie. Uczestniczą w bezgranicznie tępym nastroju w dyskusjach tego Związku. I wreszcie walczą z młodymi literatami, zaczynającymi tworzyć we Lwowie.

Oto g e n e a l o g j a p r z e c i w n i k ó w - dyskutantów, oto ich koneksje rodzinne i herbowa tradycja. Proszę się przypatrzeć tym, którzy z wyżyn tekturowego Olimpu zarzucają nas gromami swojego gniewu i blademi piorunami zjadliwej złośliwości. Młodzi Lwowa mieli nieszczęście natknąć się w swojem pokoleniu na tych drugich, późniejszych grafomanów, mieli i mają nieszczęście nazywać się młodymi literatami wtedy, gdy tytuły dojrzałych literatów należą do tej drugiej serji „nieśmiertelnych“. Młodzi Lwowa są w ciężkiem położeniu i przykrych mają przeciwników. Bo tamta pierwsza czterdziestka „nieśmiertelnych“ miała dobre zarobki i prawie powszechne w mieście uznanie, i ... pogodne wskutek tego usposobienie. Talenty żadne, ale zato przeważnie, jak wieść niesie, serdeczni i uprzejmi ludzie. Ich następcy nie są pogodni, ponieważ drukować ich tak bardzo znowu nikt nie chce, czytać ich chce się jeszcze mniej, a mieszkańcy Lwowa i okolic, dzięki zniesieniu barjer kordonowych, mają możność zupełnie łatwego przenoszenia swoich upodobań literackich poza Lwów. Dziś już nie można nikogo steroryzować „krajową twórczością“. Dzięki temu współcześni grafomani są zgryźliwi i niegrzeczni. Wysilają zmęczone odwiecznem, często wrodzonem wyjałowieniem mózgi poto, by obniżyć wartość wszystkich poczynań młodych w opinji publicznej, bądź też wmawiają, że ich wogóle niema. Sytuacja bardzo przykra.

Podmalowanie genealogiczne i charakterystyczne tak zwanego obozu starej literatury we Lwowie zawiera samo w sobie istotną przyczynę świeżo rozgorzałego sporu i toczącej się słownie oraz w prasie dyskusji. Niema naiwnych, którzyby wierzyli, że to zbyt czasem namiętne słowa Tadeusza Hollendera na słynnym już dzisiaj wieczorze poniedziałkowym w Związku Zawodowym Literatów, czy też jedno zdanie mojego fejletoniku w „Gazecie Porannej“, wywołały całą tę burzę. P r z y c z y n y l e ż ą u p o d s t a w m o r a l n e j i u m y s ł o w e j o r g a n i z a c j i s t a r e j l i t e r a t u r y l w o w s k i e j. Poprostu chodzi tutaj o zasadniczą różnicę między rozumieniem wartości estetycznych i ideowych literatury przez starych i młodych. O zupełnie różny system robienia karjery artystycznej, przez tych i przez tamtych. O różnicę warunków, w jakich byli i są tamci, a tych, w jakich są i napewno będą ci.

To też trudno nam dyskutować z zarzutami wysuwanemi przez poszczególnych reprezentantów literatury. Trudno i poprostu się nam nie chce. Bo nie wierzymy w to, że oni wierzą w istotność tych zarzutów. Bo obawiamy się, że te zarzuty, to tylko zamydlanie oczu opinji, że zostały postawione i wymyślone poto, ażeby utrzymać pewien ideowy, moralny i artystyczny status quo, a przy tem swój własny stan posiadania. Zarzuty wysuwane przeciw nam są poprostu śmieszne. Ktoś tam twierdzi, że młodzi pisarze są materjalistami, że piszą dla zarobku. Jakby nie wiedział o tem, że ci młodzi pisarze nie mają ani utrzymujących ich rodziców, ani rządowych posad i że wreszcie z c z e g o ś ż y ć m u s z ą. A niema przecież w żadnej ewangelji powiedziane, że literat, chociaż najmłodszy, tylko dla pięknych oczu Muz ma tworzyć. Nie jest nigdzie powiedziane i nigdzie zdaje się nie jest uważane za zbrodnię, jeśli poeta drukuje od czasu do czasu w piśmie codziennem fejleton, poto żeby zarobić trochę pieniędzy, niemożliwych do zdobycia wierszami. Jeszcze śmieszniejszy jest — mówmy szczerze — ten cały pomysł z zarzucaniem młodym „reklamiarstwa“. Uważa się za rzecz zdrożną i dyskwalifikującą całą grupę to, że jest w niej dwu ludzi, Tadeusz Hollender i Maciej Freudman, którzy lubią brać za temat swoich popularnych fejletonów w prasie codziennej, czy w radjo życie i sprawy najbliżej z nimi żyjących przyjaciół. Zdaje się, że nikt nie może nam tego prawa odmówić, a tem mniej ma ktoś prawo kuć z tego zarzuty.

A cóż odpowiedzieć na te gołosłowne twierdzenia o braku jakiejkolwiek efektywnej pracy pisarskiej wśród młodych Lwowa? Przecież tu już znać najwyraźniej z ł ą w o l ę naszych dyskutantów. Przecież niemożliwe, żeby ci ludzie, pilnie wertujący prasę i wydawnictwa, nie wiedzieli o tem, że od dwu lat wszystkie wiersze drukowane, a pochodzące ze Lwowa zostały napisane n i e m a l w y ł ą c z n i e przez członków tej właśnie grupy młodych. Chyba czytali starsi panowie choć jeden numer b. „Sygnałów“, chyba czytali choć jeden z kilkudziesięciu drukowanych w ub. roku wierszy Stanisława R o g o w s k i e g o, chyba słyszeli chociażby z recenzji o pięknym tomie nowel Marjana P r o m i ń s k i e g o, chyba obiło się im o uszy wyróżnienie H o l l e n d e r a nagrodą „Wiadomości Literackich“. Może też niektórzy z nich zdołali sobie uświadomić, że młodzi zainicjowali i przeprowadzają kampanję należytego rozumienia w a r t o ś c i t e a t r a l n y c h w naszem mieście, że oni najżywiej pracują nad wytworzeniem teorji poznawania sceny i oceniania jej efektów. Wypadałoby też, ażeby wiedzieli trochę przynajmniej o dobijających się coraz lepszej formy n a j m ł o d s z y c h pisarzach Lwowa, o rokującym wspaniałe nadzieje poetyckie T u r z a ń s k i m i wiele obiecującej w swojej prozie W r z e ś n i e w s k i e j. Nie trzeba im chyba przypominać też o B a u m g a r d t e n i e, zresztą członku Związku Zawodowego Literatów.

Rękawicy w ten sposób rzuconej podejmować nie możemy. Oczekiwaliśmy raczej obrony przez starszych pisarzy jakiejś ideowej pozycji, jakichś przez nich jedynie osiągalnych wartości estetycznych, oczekiwaliśmy chociażby straceńczej obrony atmosfery Lwowa, w której wyrośli, którą c o n a m o r e nasycają się. Wolelibyśmy, ażeby z tamtej strony oświadczył nam ktoś śmiało i obiecując konsekwencję, że zależy tamtej stronie na utrzymaniu Lwowa jako Ciemnogrodu, ponieważ tego rodzaju sytuacja służy tym czy innym celom. Ażeby ktoś z tamtych przyznał się do obrony takiej literatury, która ma za zadanie hodowanie miernot i która ma d o s t a r c z a ć p o ż y w k i d l a k o ł t u n ó w. Bo przecież o to naprawdę chodzi.

Wprawdzie nikt się do nas z tego rodzaju interpelacją nie zwracał, a jednak nie mogę sobie odmówić satysfakcji określenia w paru słowach n a s z e g o p r o g r a m o w e g o s t o s u n k u do rzeczywistości artystycznej i społecznej w jego najogólniejszym zarysie. Jesteśmy — niemal każdy z osobna — ludźmi o r ó ż n y c h programach ideowo-politycznych, rozmaicie zapatrujemy się na sprawy ustroju społecznego i obyczajowego, nie mamy nawet zbyt wyraźnej więzi wspólnej jakiejś formy artystycznej, a jednak w jednem łączymy się i występujemy s o l i d a r n i e. Tem jednem jest zerwanie z tradycją pisania dla kilkudziesięciu młodych i starych wielbicielek, pisania dla tego czy owego stolika kawiarnianego. Tem jednem jest walka z tworzeniem wielkości drogą partykularnego porozumienia się paru wpływowych dzięki swoim siwym włosom „asom“ miejscowej literatury, czy też drogą wciągania kogoś w kartoteki członków zrzeszeń literackich. Naszem zadaniem i naszem marzeniem jest u s z l a c h e t n i a ć i u l o g i c z n i a ć s p o s ó b m ó w i e n i a i p i s a n i a we Lwowie o literaturze, jest w y r o b i e n i e w t w ó r c y p i s a r s k i m a m b i c j i, któraby nie pozwalała mu kompromitować siebie i środowiska utworami stojącemi poniżej wszelkiego poziomu. Mamy zamiar mocno i do skutku p r z e c i w s t a w i a ć s i ę k o ł t u ń s t w u c z y t e l n i c z e m u, któremu są winni sami literaci. A l e n i e m y.

Cała dyskusja młodych ze starymi już w swojem dotychczasowem stadjum dostarcza mnóstwa nieprzyjemnych momentów. Wśród tych nieprzyjemnych zaś, znajdują się już wręcz przykre. Takim momentem jest o s o b i s t o ś ć tych poszczególnych jednostek, które druga strona barykady wysunęła jako pogromców młodych. Naturalnie lwowski światek grafomański nie sam z nami wojuje. Posługuje się w tym celu tymi nielicznymi spośród swojego pokolenia, których my mimo ich siwych włosów nie zaliczamy do „starych“ ze względu na reprezentowane przez nich wartości, dla których mamy szacunek, sympatję, a czasem nawet kult. Oni nie liczyli się do tej czterdziestki „nieśmiertelnych“ grafomanów, a jednak w imieniu tej czterdziestki walą w nas pociskami swojej dialektyki. Dali się użyć jako narzędzie bezimiennej szajki, jako e k s p o z y c i k o ł t u n e r j i, którą w gruncie rzeczy pogardzają prawie tak, jak my.

Toteż trochę nam wstyd za O s t a p a O r t w i n a, broniącego stanu posiadania kilkudziesięciu starszych pań pisujących bajeczki dla dzieci, plus p. Reis, pisujący udatne kalambury. Niech się wstydzi R a o r t, którego sprzymierzeńcy piszą do mnie listy anonimowe pełne idjotycznych obelg, komponowanych na tle jego osobistych ataków publikowanych w prasie przeciw mnie. N i e c h s i ę t e g o w s t y d z i, j e ś l i s i ę j u ż s w o j e g o „W a t e r l o o“ w s t y d z i ć n i e c h c e. Wstyd nam wreszcie za B r o ń c z y k a, że dał się użyć — do tego nieszczególnie — jako kij, mający się przejechać po naszych skórach. Jest nam naprawdę przykro.

Lwów to dziwne i tragiczne miasto. Nigdy nie wytworzyło niczego naprawdę swojego w literaturze, a teraz nie chce pozwolić, ażeby wreszcie tradycja ta została przełamana. N i e c h c e p o z w o l i ć n a m n a r e n e s a n s t e g o m i a s t a. Musimy sobie warunki zdobywać w walce z wszystkimi niemal. Musimy iść przemocą. Przy sposobności takiej drogi nieraz robi się rzeczy, którychby się w innej sytuacji nie robiło. Ale proszę nam wierzyć, wolelibyśmy tylko pisać swoje wiersze, prozę i artykuły, zamiast z konieczności pisać pamflety. Z p o l a w a l k i j e d n a k z e j ś ć n i e m o ż e m y. Nie wolno nam.

~O~

ZDZISŁAW STAHL

„Dubia“ Str. Narodowego

B. WINIARSKI: „MY I ONI W WALCE O KONSTYTUCJĘ“, POZNAŃ 1935.

„My i oni w walce o konstytucję“! Pod takim dziarskim tytułem ukazała się broszura jednego z czołowych przywódców Stronnictwa Narodowego. Decyzja wydania jej musiała zapaść bardzo pośpiesznie i wobec nieprzewidzianych przez to stronnictwo okoliczności zbliżającego się ostatecznego uchwalenia konstytucji. Inaczej bowiem nie wydawanoby chyba rozprawy, która w pierwszej części omawia nieaktualną już w tej postaci, bo zmienioną przez Senat, uchwałę sejmową z 26 stycznia 1934, a w drugiej jeszcze bardziej nieaktualny i oficjalnie zarzucony przez autorów projekt konstytucyjny Stronnictwa Narodowego z roku 1929. Wywody prof. Winiarskiego czyta się wskutek tego z pewnem zniecierpliwieniem; walczy on najczęściej z wiatrakami, z tekstami już nieaktualnemi uchwały styczniowej, albo kruszy kopje w obronie projektu Stronnictwa Narodowego z roku 1929, który już dawno został przez prezydjum tego Stronnictwa bez uroczystej ceremonji i cichaczem pogrzebany.

Ideologją konstytucyjną profesora B. W. jest oczywiście liberalizm. Liberalizm tak fanatyczny, że jak na profesora prawa, który przy znajomości innych kierunków powinien też posiadać pewien zasób objektywizmu, prawie że młodzieńczy. Profesor W. pisze mianowicie, że kto bierze rozbrat z doktryną Monteskjusza, ten zrywa wogóle z prawem! „Nie może zrywać z zasadą podziału władz — czytamy dosłownie na str. 19 i 20 — ten, kto chce mieć ustrój oparty na prawie. Państwo praworządne nie jest możliwe bez podziału władz“. Słowem według prof. B. W. ustrój oparty na prawie pojawił się w historji świata po raz pierwszy w Anglji 17 wieku, a następnie teoretycznie sformułowany przez Monteskjusza od rewolucji francuskiej dopiero począł się ustalać w Europie. Biedne narody europejskie, nieszczęsna cywilizacja rzymsko-katolicka tyle stuleci rozwijała się bez prawa, aż przyniósł je Cromwell i paryska gilotyna. Można się nie dziwić francuskim masonom kiedy wypisują takie rzeczy, ale dlaczego robi to profesor prawa na uniwersytecie poznańskim i członek Stronnictwa Narodowego?

Rozdział p. t. „Zasady ustrojowe Stronnictwa Narodowego“ (str. 53) zaczyna prof. B. W. od obrony przed zarzutem, że Stronnictwo zwalczając projekt zmiany ustroju nie przeciwstawia mu nic pozytywnego. W obronie tej powołuje się na dwa argumenty: 1) na projekt rewizji konstytucji złożony przez Stron. Narodowe w marcu 1929 oraz 2) na regulamin sejmowy, który w obecnym Sejmie rzekomo przeszkodził Stronnictwu wystąpić z własnym projektem. Argumenty te nie przekonywują, gdyż swego projektu z roku 1929 Stronnictwo oficjalnie się wyrzekło i legitymować nim się nie może, a przeszkoda regulaminowa nie przeszkadzałaby w każdym razie formułować poglądu w dyskusji sejmowej, w propagandzie prasowej i na zebraniach. Tego wszystkiego Stronnictwo nie robiło, zajmując stanowisko bezwzględnej, milczącej negacji. Tajemnicę tego zachowania się odsłania częściowo prof. B. W. kiedy przyznaje, że Stronnictwo Narodowe nie posiada jednolitego programu konstytucyjnego. „W Stronnictwie Narodowem — pisze na str. 56 — a tembardziej w wielkim obozie narodowym, który się dokoła Stronnictwa skupia, nie mogą wszyscy być jednomyślni we wszystkich szczegółach, chyba żeby myśleli na rozkaz, a to jest zgubą kierunku politycznego. W tych zagadnieniach wszystkich narodów obowiązuje wskazanie mądrości chrześcijańskiej: „In necessariis unitas, in dubiis libertas, in omnibus caritas“. Zaprawdę bardzo wzniosłą zasadę wyznaje prof. B. W., ale z jej zastosowania wynika, że sprawy konstytucyjne to są dla członków Str. Nar. właśnie te d u b i a, co do których panuje wśród nich l i b e r t a s. Niech więc nie dowodzi autor zarazem, że „My“ posiadają program ustrojowy!

Zagadkowo dosyć, a groźnie brzmi następujące zdanie praworządnego autora na str. 54: „Klub Narodowy świadom jest tego, że pod rządami tej Konstytucji Naród przejśćby musiał chwile ciężkie, a dla przyszłości kraju w niepożądane następstwa brzmienne, i dlatego od początku pomysły Bloku zwalczał, zwracając się nie do większości rządowej, lecz do opinji społeczeństwa. Naród powinien być ostrzeżony, bo nie w Sejmie zapadnie decyzja o tem, jak Państwo nasze rządzić się będzie czy też będzie rządzone“. Możnaby się przerazić tych rewolucyjnych zapowiedzi, gdyby się nie wiedziało, że to są „słowa, słowa, słowa“ w żadne — używając zwrotu autora — „niepożądane następstwa nie-brzemienne“.

Groźną i heroiczną w słowach, podniecających młodzież, kampanję przeciw ustawie o szkołach akademickich w roku 1933 potrafił wszak prof. Winiarski wraz ze swymi przyjaciółmi zakończyć i uwieńczyć... praktycznym kompromisikiem z „nimi“ przy pierwszych odrazu wyborach na rektora Uniwersytetu Poznańskiego.

~O~

WŁADYSŁAW WIELGUS

Katastrofa wsi i rzeczywistość

W czasie debaty budżetowej minister rolnictwa Poniatowski zobrazował położenie wsi polskiej. Odważnie powiedział, że uważa obecne położenie wsi polskiej za katastrofalne. Stwierdził w dalszej części mowy, że nie podatki, jak chcą niektórzy i zadłużenie położenie to wywołały, a inne znacznie głębsze przyczyny.

Oto rolnik nie może zbyć swoich produktów, a jeśli zbywa za bezcen, nie otrzymuje nawet należytego wynagrodzenia za włożoną pracę. Wyjście znajduje minister w znacznem podniesieniu się konsumpcji wewnątrz kraju. Nie zaszkodzi nadmienić, że konsumpcja nie podniesie się, jeśli pójdziemy po linji może pozornie najłatwiejszej — powtórzenia jeszcze kilkakrotnie pożyczek wewnętrznych (jak ostatnia pożyczka narodowa); linję tę niektórzy doradzają rządowi i dlatego o niej wspominamy.

Podniesienie konsumpcji zdaniem p. ministra możliwe jest tylko wtedy, gdy powstanie w kraju wielki ruch inwestycyjny, gdy zdołamy w tym kierunku skierować oszczędności społeczne. Dla lepszego naświetlenia przyczyn wywołujących zda się chroniczny kryzys wsi polskiej — przyczyn zazębiających się jedna o drugą, przypomnę Czytelnikom zasadnicze tezy wygłoszone przez b. ministra I. Matuszewskiego w referacie p. t. „Gospodarstwo polskie na tle sytuacji światowej“, na zjeździe prorządowych działaczy gospodarczych i społecznych w 1933 r.

Zdaniem jego: „tanie jest rolnictwo, które może powiększać wprawdzie intensywność i zbiory, lecz nie jest w stanie wchłonąć pracy przyrastającej ludności; drogi jest przemysł, to znaczy ta właśnie część gospodarki, która musi się rozwijać, aby dać zatrudnienie większej liczbie ludzi na niezwiększającem się terytorjum“. Naczelnem zadaniem — woła p. Matuszewski — polskiej gospodarki jest uprzemysłowienie kraju.

Przyrost ludności znajdzie zajęcie w ten sposób w przemyśle. Wiadomo nam, że przemysł nasz opierać się może głównie na rynku wewnętrznym. „Rynki wschodnie“ należą narazie do przyszłości. Wieś ze swoją masą stanowiącą 70% ludności Polski — oto nasz rynek.

Możemy jednak wywozić płody rolne. Aby zaś sprostać konkurencji i różnym dumpingom należy ceny tych produktów dostosować do rynku światowego. A wówczas uprzemysłowienie „jest możliwe o tyle tylko, o ile ceny przemysłowe nie będą zbyt odbiegały od cen rolnych, jeśli rynek wewnętrzny z usług tego przemysłu będzie w stanie korzystać w dostatecznie szerokich rozmiarach“.

Gdy uświadomimy sobie w całej rozciągłości znaczenie tych słów — zrozumiemy, że chroniczny kryzys wsi polskiej trwać będzie jeszcze długo, zrozumiemy, że umożliwienie wspomnianemu przez p. Matuszewskiego przyrostowi ludności ujścia (obok emigracji), zapewnienie mu możliwości stworzenia warsztatów pracy w przemyśle, handlu i rzemiośle jest zagadnieniem naszego „być albo nie być“.

Zrozumiemy, że karygodną lekkomyślnością jest otwieranie granic Polski przybyszom, którzy krajowi są wcale jako żywioł już nietylko obcy, niepotrzebni, ale nie mają nic u nas produktywnego do roboty (jak np. robotnicy polscy we Francji), wszak pośredników handlowych nam nie brak, a są jedynie rozsadnikami nędzy, zastoju, a także, o czem winni pamiętać żydzi — antysemityzmu.

I tylko rolniczej strukturze kraju mogą żydzi zawdzięczać, że antysemityzm u nas nie ma znacznie ostrzejszego oblicza. Program oszczędności w rodzaju pożyczek narodowych i koniecznych inwestycyj to program — zdaniem znakomitego ekonomisty St. Grabskiego — doraźny, jako przejściowy ratunek.

„Programem na dalszą przyszłość, musi być program wzmagania bogactwa pieniężnego kraju“ — przez stworzenie warunków zachęcających do: 1) kapitalizacji przewyżek eksportu nad importem, 2) lokowania się kapitałów zagranicznych w krajowych przedsiębiorstwach, (St. Grabski: Kryzys myśli państwowej, str. 114 i 117).

Bardzo ciekawa jest ta część mowy ministra Poniatowskiego, w której wspomina o nadmiernej liczbie pośredników przy handlu produktami rolnymi.

P. minister wspomniał o pośrednikach, lecz dyskretnie przemilczał metody jakiemi się oni posługują i któremi rujnują wieś, podsycając kryzys.

Kto dzierży w swoich rękach pośrednictwo handlowe w Polsce (poza Poznańskiem), kto włada nad większością młynów i składów zboża (w szczególności w Małopolsce), o tem wiemy aż nadto dobrze.

Jeszcze w r. 1898 w „Kwartalniku Naukowo Politycznym i Społecznym“ (zeszyt II) p. B. Ostoja tak maluje nasz handel: „Leży on dotąd przeważnie w rękach żydowskich. Jeżeli opinja publiczna domaga się coraz wyraźniej wyparcia żydów, z tego pola, to bynajmniej nie przez jakąś nienawiść rasową lub ciemny antysemityzm, lecz dlatego, „że żydzi handlują źle i doprowadzają powoli nasz rynek wymienny do upadku. Spekulacja bez ryzyka, a więc i bez dróg nowych — taki jest charakter górujący handlu żydowskiego“.

„A więc: sprowadzanie tendety lub towarów wybrakowanych i zbywanie ich po taniej cenie za towar dobry, brak wszelkiej rzutkości w szerszym stylu, zupełna nieudolność do otwierania nowych rynków i dorzucania na targ nowych produktów, pogoń za wyciśniętymi, groszowymi, rozdrobionymi zyskami bez ryzyka, niestałość i przygodność konjunktur, i, co najważniejsze, brak elementarnej moralności kupieckiej, podrywający wszelkie zaufanie do handlowego rynku polskiego w oczach firm zagranicznych, przywykłych opierać stosunki na pewności zobowiązań, dobrej wierze i ufności“.

Pół wieku nieomal upłynęło od czasu, gdy autor to pisał.

Czy wiele się zmieniło na lepsze?

W „Przeglądzie Warszawskim“ z r. 1921, nr. 3, na str. 425, mamy umieszczoną recenzję z książki Francuza Guibal Roland'a p. t.: La Vie Polonaise. On to „w ostrych bardzo słowach charakteryzuje rolę elementu żydowskiego w życiu gospodarczem; są to przeważnie ludzie-wszy (vèritables hommes-poux au point de vue économique), niechlujni pośrednicy we wszelkich sprawach, o najwątpliwszej etyce gospodarczej“. — „Widzi p. Guibal dobrze, jak handel i finanse opanowane są przez żydów, zdaje sobie sprawę ze stosunku świata polskiego do żydowskiego, z ich podstawowej, głębokiej różnicy“.

„Całe życie gospodarcze Polski, wedle niego, ulega pod wpływem żydowskim niszczącemu rozkładowi“.

„Handel polski przedstawia się naszemu autorowi jak najgorzej, tak, jak gdyby zła wola była u podstaw myślenia kupieckiego — i to zarówno żydowskiego i chrześcijańskiego. W rezultacie mamy: niedotrzymywanie kontraktów, wykręcanie się od zobowiązań, ciągłe trudności w stosunkach pieniężnych, prymitywną organizację giełdy i banków, którym ufać nie można, przeszkody z dołu i góry, od rządu chorzejącego na etatyzm gospodarczy, utrudniającego niekonsekwentnemi formalnościami wszelkie transakcje, zwłaszcza zagraniczne“.

Chyba dosyć na potwierdzenie zdania p. Ostoji.

Sprzeczne są coprawda te sądy o roli żydów w życiu gospodarczem, jaką sami sobie przyznają i jaką im wyznaczył Sombart w znanem dziele „Żydzi i życie gospodarcze“; jednak niepotrzeba być ekonomistą by stwierdzić, że nasze życie gospodarcze ledwie dysze, mimo tych kilku miljonów „wybitnie produktywnych *i niezastąpionych w gospodarce żydów*“.

Reasumując to wszystko dochodzimy do wniosków, że aby uzdrowić nasz organizm gospodarczy musimy: 1° uprzemysłowić choćby ogromnemi ofiarami kraj; 2° umożliwić naszą postawą, wykorzystując doskonały materjał jakim są nasi robotnicy — przypływ kapitałów z zagranicy do Polski, przy unikaniu pożyczek narodowych i zagranicznych; 3° wyeliminować, a przynajmniej zmniejszyć rolę żywiołów obcych w naszem gospodarstwie, co tylko mu wyjdzie na korzyść.

Zastrzeżenie, że p. 3 przeszkodzi realazacji p. 2 są bezpodstawne, jeżeli zważymy, że np. z Niemcami handlują nawet... Żydzi (choć bojkot hitlerowskich Niemiec trwa) i muszą z nimi handlować ze względu na wysoki poziom niemieckich wyrobów i doskonałą organizację handlu. W dodatku żydowstwo światowe zawsze będzie miało interes w handlowaniu z żydami polskimi chociażby ich tu zostało... 250.000...

Znamienne enuncjacje

W życiu politycznem Polski nie mogły ostatnio przejść bez echa niektóre charakterystyczne wypowiedzi i enuncjacje reprezentantów regime'u pomajowego. Do ich szeregu zaliczyć należy znane, ostatnie wystąpienia referenta budżetowego w Sejmie b. min. Miedzińskiego i ministra spraw wewnętrznych Kościałkowskiego.

Pierwsze dotyczyło Żydów, drugie ukraińców, przyczem to drugie miało charakter zasadniczy, gdy pierwsze raczej epizodyczny, niemniej jednak wywołało żywą reakcję po stronie żydowskiej.

Pos. Miedziński polemizując w Sejmie w dniu 12 ub. m. z Klubem Żydowskim i jego przedstawicielem p. Rosmarinem w sposób zarówno dowcipny, jak stanowczy scharakteryzował metody polityków żydowskich jako należących do „typu szczególnych analfabetów“.

Żargonowy „Haint“ tak m. inn. określił powyższe wystąpienie pos. Miedzińskiego:

> Pod koniec trzeciego czytania tuż przed głosowaniem udzielił reprezentant bloku rządowego generalny referent budżetu pan Miedziński w swej ostatniej replice odpowiedzi także posłom żydowskim. Odpowiadał tylko posłowi Rosmarinowi, ale wystarczyła ta odpowiedź dla wszystkich posłów żydowskich i dla całej ludności żydowskiej w Polsce, którą ci posłowie reprezentują.
>
> Oczywiście pan Miedziński analogicznie jak podczas całej budżetowej sesji sejmowej ani jednego słowa nie poświęcił tym wszystkim gorzkim żalom, które wysunęli posłowie żydowscy w swych przemówieniach, ani też nie zareagował na ciężkie oskarżenia, które na kilka minut przedtem z tak dużą goryczą i żalem wypowiedział prezes Koła Żydowskiego poseł dr. Thon....
>
> Wybrał tedy p. Miedziński kąśliwą broń kpin i sarkazmu. Na tem polu jest przecież mistrzem, a ryzyko przy tej metodzie staje się minimalne. Pobawił się przeto żydowską reprezentacją parlamentarną, obierając niby jako cel swego „dowcipu“ posła Rosmarina, ale zdając sobie sprawę, że przez tę jednostkę trafia ogół...
>
> Ale forma ataku pos. Miedzińskiego okazywała tyle wielkopańskiej pogardy i tyle jadowitej nienawiści („czułem się jak dziecko przez żydów kłute igiełkami“), że w rzeczywistości godziła i trafiała nietylko w zaatakowanego posła Rosmarina, ale dotknęła każdego Żyda.
>
> W ciągu 15-tu lat działalności parlamentarnej naszych reprezentantów przyszło im już nieraz znosić obrazy i poniżenia ze strony pełnych i pół krwi antysemitów. Zdarzały się już wypadki kiedy jednostki z klubu endeckiego porywały się do bicia posłów żydowskich. Ale że także p. Miedziński, reprezentant obozu rządowego zapuścił się na drogę osobistej zniewagi żydowskiego posła, stanowi to znak czasu. Znaczenie nasze w kraju zostało zniżone do takiego poziomu, że można sobie już mówić z pogardą o reprezentancie mas żydowskich i traktować go jak uczniaka.
>
> Nasi posłowie będą musieli uzbroić się w szczególną odwagę w swej walce, w której przy obecnych stosunkach przyjdzie im obok uczucia niesprawiedliwości znosić niejedno jeszcze poniżenie. Obowiązkiem żydowskiej opinji publicznej jest dodać im otuchy i udzielić im poparcia moralnego w takich chwilach“.

Enuncjacja min. Kościałkowskiego w dniu 14 bm. w komisji skarbowo-budżetowej Sejmu miała — jak już wspomnieliśmy — charakter zasadniczej natury. Min. Kościałkowski powiedział m. inn.:

> „W moich przemówieniach w komisji budżetowej Sejmu i na plenum Sejmu, w których mówiłem o równości wszystkich obywateli wobec obowiązujących praw i przepisów, obejmowałem temsamem i mniejszości narodowe. Przyznaję, że są specyficzne bolączki, programy, pragnienia, życzenia mniejszości narodowych, ale to już jest życie praktyczne. Deklarację polityczną co do poglądów moich na sprawę mniejszości narodowych w naszem państwie wygłoszę wtedy, gdy uznam to za wskazane i celowe. Jeżeli chodzi o poglądy moje, jako polityka i człowieka, to panowie je doskonale znają, ponieważ będąc przez 8 lat w parlamencie nieraz zabierałem głos w tej sprawie.
>
> Komu mam składać deklarację o mniejszościach narodowych? Społeczeństwu ukraińskiemu, czy wam, panowie, którzy uważacie siebie za t. zw. przedstawicieli społeczeństwa ukraińskiego? Społeczeństwu ukraińskiemu potrafię ją dać w formie, którą uznam za stosowną i słuszną. Panom jej dawać nie będę. Co do panów złudzeń już dzisiaj żadnych nie mam. Panowie przychodzicie do mnie i wtedy nasze rozmowy mają zupełnie inny charakter, potem zaś spotykam się z wielkiemi niespodziankami na forum publicznem. Wasze wystąpienia w Sejmie, wasze „zajawy“ wewnątrz i nazewnątrz nie są zgodne z tem co się mówi w małem gronie. Nie zamierzam i nie chcę brać udziału w tej dwulicowej grze.
>
> Panowie żądacie od nas, przedstawicieli Państwa Polskiego, deklaracji i przyrzeczeń, a sami dotychczas nie zadeklarowaliście nigdy, iż jesteście lojalnymi i wiernymi obywatelami Państwa Polskiego. Czy w Sejmie, czy tutaj w Senacie, słuchając przemówień pos. Lewickiego i p. sen. Makucha — doświadczenie moje pod tym względem jest coraz smutniejsze. Panowie uświadamiają sobie dobrze, że jesteście ostatnimi mohikanami tego typu przedstawicieli ludności ukraińskiej. Przyjdą inni młodzi, którzy potrafią znaleźć z nami wspólny język i realny program działania dla szczęśliwości swego społeczeństwa i wielkości Rzeczypospolitej Polskiej, której są obywatelami. Więcej już podobnych wam nie będzie, nie będzie dlatego, że społeczeństwo ukraińskie nie zechce już ich wybrać. W mojem przekonaniu wasza działalność jest działalnością szkodliwą nietylko dla Państwa Polskiego, ale przedewszystkiem dla społeczeństwa ukraińskiego w tem państwie. To społeczeństwo od was się odsuwa i odwraca, tracicie grunt pod nogami i dlatego wygłaszacie wasze wielkie „zajawy“ — ostatnie wasze „zajawy“, aby gdy odejdziecie ze swej placówki pozostawić po sobie przekonanie, że w Państwie Polskiem jest znacznie gorzej, aniżeli było dla was w Austrji i że już więcej nic dobrego od Państwa Polskiego się nie spodziewacie. Wyrządzacie każdą krzywdę, jaką tylko Państwu Polskiemu wyrządzić możecie To nie są frazesy, ja te rzeczy na podstawie dokumentów stwierdzić mogę. To nie jest droga do układania współżycia społeczeństwa ukraińskiego z narodem polskim wspólnie zamieszkałych na jednych i tych samych terenach, to jest droga tylko do jątrzenia i judzenia“.

A przechodząc do poruszonej przez ukraińców sprawy Berezy Kartuskiej, min. Kościałkowski oświadczył w dalszym ciągu:

> „Panowie z Klubu Narodowego przy każdej sposobności poruszają sprawę Berezy Kartuskiej. Ukraińcy dotychczas milczeli. Pierwszy senator Makuch wspomniał o Berezie. Albowiem to ciągłe przedstawianie przez całą opozycję Berezy, jako zagadnienia dookoła którego wszystko się kręci, upoważniło właśnie ukraińca, aby i on ją poruszył. Ale, panie senatorze Makuch, od poruszenia Berezy lepiej być zdaleka, bo kto mówi „Bereza“, niech ma uczciwość powiedzieć jednocześnie „Pieracki“. Wiadomem jest wszak, iż ś. p. Bronisława Pierackiego zamordowali ukraińcy. (Sen. Makuch: Sądu jeszcze nie było). Pan mówi, że procesu jeszcze nie było, a panowie dobrze o tem wiecie, że pierwsze przyznanie się do zabójstwa ś. p. ministra Pierackiego pomieszczone było w Biuletynie Krajowej Egzekutywy i w „Ukraińskim Nacjonaliście“, gdzie stwierdzono, iż Pieracki był największym dla sprawy ukraińskiej szkodnikiem. Jednocześnie Nr. 7 i 8 „Rozbudowy Nacji“ w numerze poświęconym rocznicy śmierci Hołowińskiego zamieszcza w artykule „Za przyszłość narodu“ napaść na ministra Pierackiego, nazywając po pięciokrotnym pacyfikatorem. W tym samym numerze nie zawahano się również targnąć na najwyższego duchownego dostojnika panów, metropolitę Szeptyckiego.
>
> Zostało stwierdzone, że ś. p. min. Pierackiego zabiła ukraińska organizacja. Cała grupa bojowców przybyła do Warszawy, aby tego ohydnego mordu na osobie ministra Rzeczypospolitej dokonać. Mord został dokonany. Czy w innych państwach po zabójstwie ministra spraw wewnętrzncyh taka polityka, jaką zastosowano u nas w stosunku do środowiska, z którego wyszedł morderca, mogłaby być stosowana? Niech się panowie zastanowią, coby się działo z wami wszystkimi, gdyby się to stało gdzieindziej, napewno nie byłoby w dniu dzisiejszym na ten temat dyskusji, gdyż nie byłoby na niej napewno i sen. Makucha. Dlatego też nie mam zamiaru z panami dyskutować i dlatego radzę panom poruszanie Berezy zostawić komu innemu“.

Te surowe, żelazne, ale zasłużone słowa prawdy znajdują poparcie całego społeczeństwa polskiego. Na kresach wschodnich spotykają się one ze szczególnym oddźwiękiem. Min. Kościałkowski odzwierciedlił bowiem w swojej enuncjacji to tylko, co jest rzeczywistym poglądem wszystkich Polaków bez względu na ich różnice polityczne.

Dwulicowość polityków ukraińskich, którą demaskowaliśmy ostatnio właśnie na łamach „Akcji Narodowej“ na marginesie przemówienia pos. D. Lewickiego, została niemal równocześnie w sposób chyba najbardziej autorytatywny określona również przez ministra spraw wewnętrznych.

Jeśli poświęcamy tym sprawom niniejsze uwagi to jeszcze dla jednego powodu. Ostatnie wystąpienia wybitnych i decydujących osobistości dzisiejszego regime'u są dla nas a chyba i dla każdego objektywnego człowieka, wyraźnym dowodem jak bardzo zdecydowanie uwydatnia się także na wewnętrznym terenie kraju w dzisiejszej polityce rządu jej narodowy charakter. Nic innego nie mógłby posłom undowskim powiedzieć żaden narodowy polityk — prócz tego, co powiedział im w imieniu rządu min. Kościałkowski. Ewolucja wypadków w Polsce posuwa się — naszem zdaniem — po właściwej linji i przybiera coraz bardziej jednolity charakter.

Jest to objektywna prawda, nad którą nikt nie może przechodzić obojętnie. Tembardziej nie sposób ją fałszować. Należy natomiast wyciągać z niej teoretycznie, a także i przedewszystkiem praktyczne wnioski.

Zygzaki „zasadniczej“ opozycji

Bezpośrednio po głosowaniu nad budżetem odbyła się w Sejmie dyskusja i głosowanie nad ustawą o poborze rekruta. W głosowaniu Sejm uchwalił powyższą ustawę głosami wszystkich klubów przeciw głosom klubu komunistycznego i P. P. S.

Przedstawiciel P. P. S. motywował stanowisko swojej partji w ten sposób, że — aczkolwiek w zasadzie P. P. S. docenia i popiera obronę państwa — to jednak będzie głosowała przeciw ustawie o poborze rekruta, ponieważ głosowanie za ustawą byłoby wyrażeniem aprobaty dla dzisiejszego rządu.

Z punktu widzenia „czystej“ doktryny parlamentarnej ten punkt widzenia posiada swoją logikę, aczkolwiek doprowadza do absurdalnej negacji wobec najistotniejszych zagadnień bytu państwowego.

Budżet i pobór rekruta są temi dwoma podstawowemi działami życia państwowego, bez których nie można sobie wyobrazić jego istnienia. Skarb i wojsko tworzą warunek normalnego funkcjonowania państwa, zabezpieczenia jego bytu.

Stara doktryna parlamentarna urobiła w ciągu lat teorję, że jednak z tych niezbędnych konieczności państwowych można robić narzędzie walki z niemiłym dla sił parlamentarnych rządem. Wyrażało się to w głosowaniu bądź przeciw budżetowi bądź przeciw poborowi rekruta, bądź przeciw jednemu i drugiemu równocześnie. P. P. S. zastosowało właśnie tę ostatnią metodę. I stwierdzić jeszcze raz trzeba, że — z punktu widzenia wspomnianej teorji parlamentarnej — była konsekwentną, acz nieszkodliwie.

Podkreślamy to dlatego, że nie wszystkie dzisiejsze partje opozycyjne broniące parlamentaryzmu i uznające starą jego teorję walki z rządem za pomocą odmawiania mu konieczności państwowych — są tak samo konsekwentne. Np. Stronnictwo Narodowe głosowało przeciw budżetowi (a conajmniej nie głosowało za budżetem), chcąc w ten sposób wyrazić nieufność regime'owi, ale głosowało za poborem rekruta. Dlaczego to uczyniło — niewiadomo. Jeśli bowiem decydowało poczucie konieczności państwowej — to wojsko jest przecież równą troską jak budżet, a bez skarbu nie mogłaby istnieć armja. Uchwalając zaś pobór rekruta Str. Narodowe dało niewątpliwie wyraz zaufania rządowi, co znowu nie godzi się z powszechnie głoszoną krytykę w tym zakresie.

Słowem — linja logiki i polityki Str. Narodowego wyraźnie się w tej sprawie załamała. Nietylko zresztą, jak wiadomo, w tej jednej. Jest to raczej jeszcze jeden wyraźny ślad manowców, po jakich ciągną się zygzaki tej partji.

I niewiadomo, dlaczego — walcząc z rządem — wolno zwalczać budżet, a popierać pobór rekruta. Niewiadomo również dlaczego wolno krytykować tych, którzy głosują konsekwentnie i za budżetem i za poborem rekruta, jako za dwoma niespornemi koniecznościami państwowemi i przeciwstawiać siebie jako nieskalanych opozycjonistów, a równocześnie samemu raz zwalczać, a raz popierać te konieczności i uważać to za naturalny bieg rzeczy nie przynoszący uszczerbku „zasadniczej“ linji opozycyjnej.

Przyznać się trzeba, że nie każdy ma ochotę w ten sposób błaznować i wyczyniać tego rodzaju karkołomne popisy. Wolimy narazić się choćby na zarzuty, ale działać z jakimś sensem i logiką.

* * *

W związku z tą samą sprawą głosowania nad budżetem zabiera głos „Kurjer Bydgoski“ z dnia 19 lutego i w artykule wstępnym p. t. „Budżet koniecznością państwową“ podkreśla słuszność tez deklaracji posła Z. Stahla, złożonej imieniem Klubu Posłów Ruchu Narodowego. W dalszym ciągu bydgoski dziennik przypomina, że były lata kiedy dzisiejsza opozycja głosowała za budżetem, a mianowicie głosowała pod grozą ...dekretu rozwiązującego Sejm.

> „Lecz nie zawsze — czytamy w „Kurjerze Bydgoskim“ — w izbach ustawodawczych miał rząd bezwzględną większość. Wiemy, że tak jest dopiero od listopada 1930 r. Przedtem w latach od 1928 do 1930 r. rząd dysponował w Sejmie zaledwie 128 głosami (na 444), a w latach poprzednich nawet tylu nie miał w Sejmie zwolenników. Mimo to co roku budżet otrzymywał w porę. Kto wtedy rządowi uchwalał budżet? Uchwalała opozycja

(Ciąg dalszy na stronie 4-tej)

Zygzaki „zasadniczej“ opozycji

(Ciąg dalszy ze strony 3-ciej)

— tak! opozycja. Była przeciwna rządowi, lecz budżet mu uchwalała. Nie odważyła się na odrzucanie preliminarza, choć dostateczna była wtedy jej siła, aby rząd pozbawić budżetu. Prawda — nie cała opozycja głosowała za budżetem, ale głosowało tyle klubów i tylu posłów, ile potrzeba było na większość. A większość tę skonstruowano w drodze pokątnych kombinacyj zakulisowych. Swoje zaś niezadowolenie z rządu wyrażała opozycja przez demonstracyjne skreślanie z budżetu symbolicznych złotówek wzgl. całych pozycyj (np. 2-milj. funduszu dyspozycyjnego min. spraw wojskowych). Najlepszą zaś zachętą do głosowania za budżetem był urzędnik Prezydjum Rady Ministrów, który przybywał do Sejmu. Tak było np. w dniu 15 lutego 1927 r., kiedy to do Sejmu z taką rolką w ręku przybył sam ówczesny premjer marsz. Piłsudski. Ta rolka papieru dokonała wprost cudów. Wolała bowiem opozycja uchwalić budżet wrogiemu rządowi, niż narazić się na utratę mandatów, a zwłaszcza wysokich diet poselskich. Wiadomo bowiem było, iż po odrzuceniu budżetu rząd natychmiast rozwiąże Sejm i rozpisze nowe wybory“.

Jak widzimy z tych niedawnych wspomnień, opozycja umie głosować przeciw budżetowi, ale jedynie wówczas, gdy wie napewne, że sprzeciw ten pozostanie bezskuteczny.

Przedstawienie było moralnym benefisem Machalskiego, którego, przyznam się, nie posądzałem nigdy o taki rozmach i szeroką swobodę ekspresji. Doskonale dopełniał go Leliwa, zawsze jednakowo zabawny w swej charakterystycznej pickwickowskiej sylwetce. Niczewska okazała się dobrą Gorgonową, najlepszą w ostatnim akcie. Śliwiński wyposażył swą drobną rólkę w głęboki, prawdziwy komizm. Kipeniówna, Zapolska, Kordowski, Składanek, Ratschka i wszyscy inni stworzyli świetnie zgrany zespół. Reżyserował p. Roman Niewiarowicz. Wnętrze ładnie umeblował O. Rex.

Zbigniew Papp.

ZBIGNIEW PAPP

Luigi Pirandello

Nagroda Nobla przyznana z końcem ubiegłego roku Ludwikowi Pirandello za działalność dramatopisarską, która nazwisko jego uczyniła sławnem na obu półkulach, przyszła właściwie zapóźno. Punkt kulminacyjny rozgłosu, jaki otoczył autora „Sześciu postaci“ i utorował mu drogę na wszystkie sceny teatralne całego świata, a zarazem szczytowy punkt jego twórczości literackiej minął już mniejwięcej dziesięć lat temu. Wówczas wawrzyn szwedzkiej Akademji były ukoronowaniem najwyższem popularności, jaka dość nieoczekiwanie wybrała sobie tego pisarza dotąd niebardzo uznawanego nawet we własnej ojczyźnie; dziś to samo odznaczenie legalizuje tylko post factum autorytet poniekąd już przebrzmiały i nieaktualny.

Jak już wspomniałem, Pirandello dłuższy czas bezskutecznie walczył z brakiem uznania u rodaków i opinją, zwracającą się raczej przeciw niemu, niż za nim. Sztuki jego zostały „odkryte“ naprzód zagranicą, a potem dopiero we Włoszech. Odskocznią do tryumfalnego skoku w sławę stał się dla Pirandella Paryż, gdzie najwcześniej genjusz jego znalazł zwolenników i wielbicieli w osobach dwóch młodych reżyserów, przedstawicieli awangardy teatralnej, poszukujących nowych dróg w zakresie form inscenizacyjnych i nowego repertuaru, któryby się do tych eksperymentów najlepiej nadawał. Premjera „Sześciu postaci scenicznych w poszukiwaniu autora“ w teatrze Pitojeffa i premjera „Rozkoszy uczciwości“ w teatrze Dullina w roku 1923 wydobyły niejako na światło dzienne niepokojąco oryginalną sztukę Pirandella i z miejsca wciągnęły autora na nieoficjalną listę najwybitniejszych dramaturgów europejskich.

Początek jest zawsze najtrudniejszy; dalsza karjera znakomitego pisarza potoczyła się już gładko i szybko. Z wystawieniem dalszych utworów nie było oczywiście żadnych trudności. Widzimy Pirandella kolejno kierownikiem objazdowej trupy teatralnej, jednej z owych „compagna“, od jakich roi się na gościńcach Italji, kultywującej dotąd antyczny zwyczaj „wozów Tespisa“ („Carrodi Tespi“), później dyrektorem aż trzech teatrów jednocześnie (w Medjolanie, Rzymie i Turynie — 1929), jakiś czas dyrektorem słynnego rzymskiego teatru „Odescalchi“, wreszcie członkiem Akademji.

Dziś Pirandello uchodzi za drugiego reprezentacyjnego, obliczonego „na eksport“ włoskiego autora teatralnego. Pierwszym jest ciągle Gabrjel d’Annunzio, biegunowo przeciwna indywidualność artystyczna, pionier naturalizmu, wykończony literacko (politycznie nie!) jeszcze dawniej, niż Pirandello. Obu tych ludzi łączy właściwie tylko jedno: sympatja dla ruchu faszystowskiego, która niewątpliwie też przydała im się w życiu: obaj są obecnie oficjalnie uznanemi słońcami na firnamenobaj też posiedli najwyższe odznaczenie — nagrodę Nobla, dostępną jedynie nielicznym wybrańcom.

W Polsce Pirandello jest mniej znanym, niż gdzieindziej. Sztuki jego są może za trudne, widz i słuchacz nie rozporządzający pewnem przygotowaniem filozoficznem nie zorjentuje się łatwo w intencjach autora, nie zrozumie poprostu o co chodzi. „Rozkosz uczciwości“ pojawia się wprawdzie od czasu do czasu na afiszach teatrów warszawskich, poznańskich, lwowskich, lecz właśnie ta komedja nie może absolutnie dać wyobrażenia o specyficznym charakterze twórczości autora, niema w niej bowiem najbardziej dla Pirandella typowego balansowania na pograniczu rzeczywistości i fikcji, ku zupełnemu zdezorjentowaniu słuchacza.

„Sześć postaci scenicznych“ grywana jest u nas bardzo rzadko, prawie nigdy, częściej nieco wystawia się „Henryka IV“ (ostatnio w Warszawie u Szyfmana z Kazimierzem Junoszą-Stępowskim w roli tytułowej).

Gdy się myśli, czy pisze o Pirandellu, najsilniej narzuca się przymiotnik: niepokojący. Śmiałe, ekscentryczne w pomyśle teorje Pirandella wywołują istotnie niepokój wewnętrzny, podważają zaufanie w nienaruszone, zdawało się, zasady bytu, wprowadzają chaos w świat naszych pojęć i wierzeń, obalają zdawna ustalony porządek rzeczy. Relatywistyczny stosunek do otaczających nas zjawisk doprowadza do negacji wszelkich prawd. Nic nie jest pewne. Wszystko jest względne. Nikt nie wie co jest prawdą, a co złudzeniem. Zmysły przestają być narzędziem poznania, a stają się przyczyną omyłek i fatalnych nieporozumień. Nie znamy prawdziwej rzeczywistości, znamy tylko jej pozory. Jesteśmy na każdym kroku „nabierani“, oszukiwani przez los, strojący sobie z nas okrutne żarty.

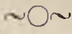
Do teatru przybywa rodzina złożona z sześciu osób i zaczyna opowiadać swą tragedję. Szukają autora. I w miarę, jak ich dziwna historja rozsnuwa się na scenie, jak odgrywają ją sami jej bohaterowie, przestajemy zdawać sobie sprawę z ich aktorstwa, tracimy poczucie rzeczywistości, przestajemy rozróżniać prawdę od fikcji. Owych sześć postaci to przecież fikcja: widzimy je na scenie. Ale jednocześnie owych sześć postaci to prawda żywa: grają samych siebie!

Drugi przykład: właściciel zamku skutkiem nieszczęśliwego wypadku dostał pomieszania zmysłów. Wydaje mu się, że jest cesarzem i żyje w XI wieku. Rodzina dostosowuje się do jego szaleństwa i otacza go dekoracyjną złudą średniowiecza. Przez szereg lat Henryk IV panuje na swym mikroskopijnym dworze, odcięty od otoczenia i od widowni wyimaginowaną przepaścią ośmiuset lat. Lecz cóż się okazuje? Warjat już dawno przestał być warjatem, udaje go tylko, nie chcąc wrócić do „normalnego“ świata, z którym go nic nie łączy. Potem oszaleje naprawdę, gdy przypomną mu, w celach leczniczych! — okoliczności pierwszego, dawnego wstrząsu. Ale jeżeli bohater nie jest warjatem, to kto właściwie jest nim? Może właśnie ci „normalni“? Znowu łamigłówka psychologiczna, kwestjonująca prawa umysłu ludzkiego do osądzania drugich według siebie.

W ostatnich latach, kiedy literatura światowa wraca powoli do równowagi duchowej, nierzadko kosztem rezygnacji z rozwiązywania podstawowych zagadnień istnienia, Pirandello przestał interesować jako autor, formułujący pewne problemy. Cenimy w nim zato tem więcej artystę umiejącego w mistrzowski sposób przemyśleć i skonstruować technicznie utwór na tak nierealnem i nieuchwytnem założeniu oparty. J. N. Miller, patrzący na zjawiska literackie pod socjalnym kątem widzenia, twierdzi, że „dla klasy robotniczej Pirandello może być ciekawym lecz znamiennym symptomem rozkładu świata kapitalistycznego“. Słusznie będzie powiedzieć, iż Pirandello to jeden z najwyższych wzlotów intelektu, na jaki zdobyła się kultura dzisiejszych czasów.

„Przeprowadzka“ K. H. Rostworowskiego

Sfery kulturalne i szerokie koła inteligencji Lwowa powitały z gorącem uznaniem wiadomość, że na afisz Teatru Wielkiego wchodzi znakomite dzieło Rostworowskiego „Przeprowadzka“, której dotychczas w mieście naszem nie grano. Lwowianie znają tylko „Niespodziankę“, będącą pierwszą częścią cyklu dramatycznego, w którym „Przeprowadzka“ tworzy część centralną. „Niespodziankę“ wystawiono za dyrekcji pp. Zaremby i Barwińskiego. Obecnie należy się wdzięczność dyr. W. Horzycy za podjęcie inscenizacji „Przeprowadzki“. W najbliższym numerze umieścimy artykuł o lwowskiem przedstawieniu „Przeprowadzki“, pióra dr. Mieczysława Piszczkowskiego.



LEON K-GH

„Zioła i kamienie“

Jedną z cech, która czyni podobnemi do siebie słuchowisko i film, jest przejaskrawiona, przeszarżowana, można rzec, w nieskomplikowanym, uproszczonym skrócie problematyka zawartości literackiej, wtłoczonej w ramy umownej, konwencjonalnej dymmensji czarowej.

„Zioła i kamienie“ — słuchowisko nagrodzone i uznane za pierwsze w rzędzie nagrodzonych, cechuje właśnie owa podniesiona do wybitnie wysokiej potęgi emocjonalnej jaskrawość problemu, jego całkowite opanowanie wszystkich elementów składających się na słuchowisko i, dodajmy jego wybitną literackość. W typice postaci (akustycznych!) mamy i Żeromszczyznę i trochę Dostojewskiego, przyprószone mgiełką sentymentu aktorki — która, jeżeli chodzi o słuchowiskową technikę utworu, naprawdę pokazała mocny i niezawodny pazur.

Czy słuchowisko jest wogóle jakimś odrębnym gatunkiem artystycznym? A jeżeli tak, to jakie wymagania z punktu widzenia odbiorcy należałoby postawić owemu odrębnemu gatunkowi? Odpowiedź, przy dzisiejszym stanie teoretycznych rozważań w zakresie kultury filmowej i radjowej nie nastręcza większych trudności. Pierwszem wynagrodzeniem byłaby w tym wypadku niemożliwość istnienia słuchowiska inaczej, niż przed mikrofonem, drugiem — próba wyrażania wszystkiego przez zasadniczy materjał: dźwięk. Słuchowisko Morawskiej, okazało się prócz tego terenem do wypróbowania kinowego „symultanizmu“, t. j. jednoczesnego przedstawienia kilku momentów akcji, właśnie przez wyrażenie ich dźwiękowo. Rzecz jasna, zróżnicowanie głosów poszczególnych tonacji i co najważniejsze treści poszczególnych wypowiedzi, niepozwalających brać działających postaci za kogo innego, musiało tu przyjść do głosu z tem większą wyrazistością, że materjałem charakteryzacyjnem był znowu tylko i jedynie dźwięk. I z tego punktu widzenia, należy to zaznaczyć, eksperyment udał się w pełni. Chęć przezwyciężenia ekspozycyjności (z konieczności) dotychczasowych przeróbek, znajdującej wyraz właśnie w przedmowach speakera lub w naiwnych monologach, podyktowała autorce zapewne ujęcie ekspozycji, bardzo zresztą skondensowanej w dialogową formę i przewych części słuchowiska.

Ekspozycja też w „Ziołach i kamieniach“ nie daje się wyczuć, jako pewien, wprawdzie nieodzowny ale często jednak nużący człon w kompozycji; jest raczej przyczynkiem do charakterystyki osób (Magdy), nie narzucającym na razie żadnych sugestyj co do dalszego toku akcji. W dalszym ciągu, jeżeli już rozpatrujemy owo słuchowisko z punktu widzenia techniki, to warto też podkreślić doskonały chwyt, jakim bez wątpienia jest wyzyskanie momentu ilustracyjnego. Ilustracja muzyczna, charakteryzująca nastrój, w którym się przenosi akcja, wyzyskania w sensie ilustracyjnym szmerów i hałasów wielkomiejskiego ruchu — które od tak dawna zajęły bardzo duże miejsce w filmie — to wszystko, porzucając analogję z ekranem, — a jednocześnie dzięki wyczerpującemu wyrazowaniu przez dźwięk, wyodrębnia omawiane słuchowisko z powodzi radjofonicznych przeróbek i słuchowisk, będących zapożyczeniem z literatury. Nie znaczy to bynajmniej, że słuchowisko Morawskiej w sensie treściowym odbiegało daleko od innych, mniej, lub więcej literackich. Zaznaczając na początku „literackość“ tego utworu, miałem na myśli w równym stopniu problematykę, co i opanowanie materjału i środków kształtowania w zakresie pisarskim.

I tu właśnie, nastręcza się zasadnicze zestawienie co do psychiki granego przez Brydzińskiego pierwszego brata. Zagadnienie „nie zawinionej winy“, które tak różne jest od kwestji kary, uległo tu, jak się zdaje, uproszczeniu przez idealizację. Typ wspaniałego społecznego pracownika, wykonywującego pracę o wiele cięższą niż ta, do której wykonywania był zobowiązany, załamuje się pod wpływem uświadomienia sobie nieistniejącej winy wobec brata, załamuje się ze szkodą dla tego ogółu, który pod wpływem pracy i walorów duchowych swego nauczyciela, podnosił się do wysokiego poziomu. I dlatego właśnie, że typ ten prawie nigdy nie żyje dla siebie, mamy prawo wymagać w konsekwencji, żeby sprawa bądź co bądź osobista, nie przeważała szali tam, gdzie chodzi o pracę dla nas. Typ dekadenta-ascety, poświęcającego się z patologiczną gorliwością dla urojeń, dziś się już przeżył i nie może mieć pozytywnego znaczenia. I to może jest powód, z którego wynika, pokryta grą Brydzińskiego, sztuczność tej postaci. Inaczej — jeżeli chodzi o drugie plany i tło. Wiejskie otoczenie, małostkowe antagonizmy, ambicyjki i zainteresowania, atmosfera rozplotkowanego gadulstwa, wszystko to zostało ujęte przez autorkę w krótkie i bardzo wyraziste zarysy.

Do podanych zalet trzeba dodać subtelną i inteligentną, ciągle nową i niespodziewaną grę Jaracza i Brydzińskiego, którzy dominowali nad innymi wykonawcami. A jeżeli chodzi o naprawdę trwałe zdobycze w sensie techniki słuchowiskowej, to „Zioła i kamienie“ poza wyzyskaniem ilustracji wnoszą jeszcze jeden czynnik — tj. próbę dźwiękowej synchronizacji akcji.

Czy słuchowisko to zadawala w zupełności wszelkie, jakie można mu postawić z punktu widzenia teorji słuchowiska, wymagania? Napewne nie.

Radjo, jak żaden inny pośrednik w odbiorze wrażeń nadaje się do przezwyciężenia naturalizmu i pozwala na daleko idącą fantastykę przez wyzyskanie akustycznego charakteru swoich bodźców percepcyjnych. Jednakże, jeżeli się rozważy naszą kulturę słuchowiskową, to „Zioła i kamienie“ będzie trzeba uznać za krok — może nie wielki — ale zawsze krok naprzód.

~○~

Kurjer Lwowski przed sądem

Na dzień 7 marca br. wyznaczona została w lwowskim Sądzie Grodzkim rozprawa przeciw odpowiedzialnemu redaktorowi „Kurjera Lwowskiego“ Marjanowi Ostrowskiemu, oraz przeciw współpracownikowi tegoż organu Marjanowi Emilowi Rojkowi, oskarżonym przez oskarżyciela prywatnego dra Klaudjusza Hrabyka o występek z art. 256 k. k. popełniony w artykule „Kurjera Lwowskiego“ z dnia 3 stycznia br. podpisanym literą „R,“, a skierowanym przeciwko drowi Hrabykowi w związku z kampanją „Akcji Narodowej“ w głośnej sprawie obrony Konrada Rudnoffa przez prezesa Stronnictwa Narodowego we Lwowie adw. J. Pierackiego.

~○~

Z TEATRÓW LWOWSKICH

Teatr Rozmaitości: „Obrona Keysowej“ sztuka w 3 aktach Brunona Winawera.

Najnowsza sztuka Winawera odbiega dość znacznie od poprzednich utworów popularnego komedjopisarza. Bohaterem jej nie jest już uczony chemik, matematyk, czy fizyk, żyjący w świecie cyfr i eksperymentów w kompletnem oderwaniu od rzeczywistości, lecz sławny adwokat. Coś niby adwokat i róże. W tym wypadku — adwokat i rybki. Bo mecenas Holstin syt rozgłosu (i forsy!) schronił się nad brzeg Narwi, aby w cichem ustroniu, bez książek, gazet, bez kontaktu ze światem cywilizonem, z wędką w ręku i w butach z cholewami odpoczywać, odpoczywać, odpoczywać, a przedewszytkiem nie myśleć nareszcie o procesach. Lecz pech go prześladuje: wizja lokalna sprowadza do jego domu cały aparat śledczy: sędziów przysięgłych, prokuratora, obrońcę, policję, reporterów. Nie dość na tem: „zbrodniarka“, urocza pani Keysowa, oskarżona o morderstwo, wyrwawszy się choć na chwilę z rąk „sprawiedliwości“ wpada do jego pokoju i mdleje w najlepsze na fotelu. W emerytowanym mecenasie na widok tortur moralnych kobiety, przeciw której przecież przemawiają tylko poszlaki — budzi się najpierw gelteman, a potem dawny niezwyciężony lew sal sądowych. Przyjmuje obronę Keysowej.

Akt drugi. Sąd dzięki porywającemu przemówieniu mecenasa Holstina wypuścił oskarżoną na wolną stopę. Lecz co dalej? Gdzie się ukryć przed zdecydowanie wrogą opinją? Jak urządzić sobie dalszą egzystencję, tak strasznie wykolejoną? Na wszystkie te pytania dręczące jego klientkę przedsiębiorczy mecenas znajduje rychło odpowiedź: poprostu pani Keysowa wyjdzie za mąż za jego przyjaciela, uczonego przyrodnika, specjalistę od życia seksualnego robaków. Uczony ten, echo dawnych winawerowskich bohaterów, niezaradny i bezwolny, zgadza się na wszystko bez protestu.

Akt trzeci to już tylko happy-end. Kwestja winy Keysowej pozostaje do końca nierozstrzygnięta. Autor jakby umyślnie podkreśla jej drugorzędność: zabiła, czy nie zabiła, to nie ma znaczenia. Grunt, że jest kochana i kocha. Ba, ale kogo? Czy naprawdę tego idjotę od robaków, dobrego i poczciwego, ale beznadziejnie nudnego? Oczywiście, że nie. Biedaczysko nolens volens musi odstąpić żonę bardziej atrakcyjnemu przyjacielowi.

Fakt, iż Winawer zgodził się na „prapremjerę“ we Lwowie, a nie jak zwykle w Warszawie, dowodzi prestige’u, jakim cieszy się teatr lwowski. Na przykładzie „Obrony Keysowej“ można stwierdzić, jak zasłużoną jest ta reputacja. Do niedawna gra artystów stanowiła bodaj że najsłabszą stronę widowisk teatralnych, nie dorównując reżyserji i inscenizacji. Obecnie każda bez wyjątku sztuka grana jest koncertowo.

KINOTEATRY LWOWSKIE:

ADRIA: „Rok 1914“
APOLLO: Dla Ciebie śpiewam.
ATLANTIK: Siostra Marta jest szpiegiem.
CASINO: „Miłość Fräulein Doktor“.
CHIMERA: „Zbrodnia w Trynidat“.
COLOSSEUM: „Paryskie szaleństwa“.
GRAŻYNA: „Świat się śmieje“.
KOPERNIK: „Piotruś“.
MARYSIEŃKA: „Pojedynek ze śmiercią“.
MUZA: „Szpieg Nr. 13“.
PAN: Flip i Flap.
RAJ: „Noc cudów“.
STYLOWY: „Carioca“ i rewja.
SŁOŃCE: „W niewoli dżungli“.
ŚWIT: „Noc cudów“.
UCIECHA: „Syn King Konga“.
WANDA: „Szalona noc“.

Nowości w Księgarniach

Vibray, 1935, paix avec Allemagne?
Guogne, Tendances apres guerre des banques francaises de depot 30.—
Harbley, Les defaillances de l’allemagne vis-a-vis des ses creanciers prives et la defense du mark (1931—1934) 40.—
Piettre, Economie dirigee et commerce international 25.—
Hanoteaux, Raymond Poincaré 7.50
Recouly, L’Italie fasciste 4.50

Beard, The Open Door at Home, a trial Philososphy of National Interest sh. 12/6
Beauchamp, British Imperialisme in India 5
Bodley, The Drama of the Pacific 6
Causes of the Grmain Collapse in 1918 18
Cooper, American Consultation in World Affaise. For preservation of Peace. 15
Ellinger, Credit and International Trade How they Workin Practice. 8/6
Ellis, Germain Moneatry Theory 1905—1933. 21
Garland, Economics Aspects of Australian Land Taxation 10/6
Hall, Government and Bussiness 15
Hastings, The Changing Face of Germany 3/6
Mc. Gregor, The Correct Econo-my for the Machine Age 7/6
Merriam, Political Power 12/6
Mises, The Theory of Money and Credit 18
Pascal, The Nazi Dictatorship 10/6
Politicians and the Public Servise 1
Robey, Roosevelt versus Recovery 8/6
Robinsohn, American Democracy in Timeof Crisis 4/6
Scherer, Japan’s Advance 15
Strong, The Second Generation Japanese Problem 15
Toynbee, Survey of International Affairs 24
Trease, The Unsleeping Sword /6
Wallace, The New Deal in Action 8/6
Wildes, Japan in Crisis 8/6
Williams The Flexible Budget 15
Browning, Women under Fascism and Comunism 0/6
Evans, Women and the Civil Service 3/6
100 New Towns for Britain, A Scheme of National Reconstruction. Revised and enlarged edn. 2/6
Lorimer, Dynamics of Population 15
Mannheim, Rational and Irrational Elements in Contemporary Society 2
Race and Culture Contacts 18
Rumney, Herebert Spencer’s Sociology Study in History of Social Rheory 10/6
Schaan, Town Plainning an Husing trougHoutthe the World 50

Assante, Dal sindicato alla corporazione L. 7.—
Avenati, La riforma sindacale dell’anno XII.
Appunti sulla riforma dopo la legge sulle Corporazioni. 3.—
Bontempelli, Politica leteraria 6.—
Cardone, Il diritto e lo Stato secondo la nouova filosofia della vita 6.—
Caristia, Il pensiero politico di Nicolo Machiavelli. 15.—

Do nabycia w Księgarni B. Połonieckiego we Lwowie, ul. Akademicka.

Wydawca, naczelny i odpow. redaktor: Dr. Klaudjusz Hrabyk. — Drukarnia Naukowa Lwów, Ormiańska 8. Tel. 253-10.